1. Września. **Nr. 38.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:
kwartalnie . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

LUDZIE DOBRYCH CHĘCI.

Przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

III.

Nad drzwiami domu pana Anzelma Politatowskiego wisiała tablica, na której czytano: ›Fabryka‹, dużemi literami. Nie jeden ciekawy był co to za fabryka, co wyrabia? — Poniżej napisu, był napis drugi drobniejszem pismem: ›Anzelm Politatowski, w domu własnym, nowo wybudowanym‹. — Pan Politatowski był przekonany jak się zdaje, że kto zechce dowiedzieć się, co za wyroby dostarcza ta fabryka, ten nie omieszka zaglądnąć do wnętrza. — Ale i tu nie wiele można się było dowiedzieć.

Na drzwiach, prowadzących do pokoju samego pana, świeciła wprawdzie tabliczka o złotych literach, ale złożywszy z tych liter słowa, brzmiały one, jak poniżej dla przekazania potomności tego pomnika literatury szyldowej wypisuję: ›Anzelm Politatowski, obywatel i radny miasta Lwowa — w własnym domu — przemysłowiec wyrobów krajowych i t. p., członek wielu Towarzystw krajowych.‹

I z tego jeszcze nikt nie mógł domyśleć się, co pan domu chciał do wiadomości podać. — A przecież pan Anzelm utrzymywał, że gdyby jeszcze dwa razy tak dużą tablicę wywiesił, nie byłby w stanie wypisać na niej wszystkich piastowanych godności.

Pan Anzelm Politatowski powtarzał często: ›Upadam pod nawałem zajęć publicznych. Każda chwila żywota publicznego brzemienna pracą. Na ramionach mieszczan obywateli spoczął obecnie porządek miasta‹. — Tyle i całą litanję podobnych frazesów powtarzał nieustannie. Aplikował to chłopcu i kucharce; stróżowi gdy zamiatał, parobkowi, kiedy ten wypędzał bydło z obory. Jeżeli czasem zapomniał czego, opuścił jakie słowo, to wyciągał gdzie w kącie noszoną w kieszeni litanję tych komunałów, i tracił często pół godziny czasu drogiego do wyuczenia się jednego zdania.

Pan Anzelm zresztą najlepsze miał chęci, i chciał podnosić zaniedbany w kraju przemysł.

Szorstkie obejście się z podwładnymi nazywał on postępowaniem energicznem, upor wolą, ludzi światłych lub ugrzecznionych — niepraktycznymi. Pochodziło to może ztąd, że jego własna osoba z postawy nie wiele obiecywała.

Wzrostu średniego, więcej kościsty niż otyły, podłysiały blondyn z wystającemi pod oczyma kośćiami, o policzkach zapadłych, nie wzbudzał zaufania. Oczy miał wyraziste, ale malowało się w nich tylko zuchwalstwo, nic więcej. Dodawszy do tego wąsy jasne obwisłe i długie dosyć, wyglądał na wysłużonego lokaja lub pokojowca.

Była właśnie godzina piąta, gdy pan Anzelm powrócił z miasta; powrócił nie sam. Przybyła za nim figurka jakaś, wyglądająca jak chłopiec z handlu korzennego, w odzieniu mocno zasmarowanem.

Pan Anzelm zatrzymał się przed domem, i przywoławszy tuż za nim przybyłego — rzekł wskazując na szyld nad drzwiami.

— Uważasz, ten napis, czy widzisz?

— Anu, widzę, cobym niemiał widzieć — odparł charkocząc zapytany.

— Przeczytaj!

Chłopiec wypełnił rozkaz.

— Oderwiesz szyld, zabierzesz do majstra i wypiszecie pod fabryką jeszcze to słowo — słuchaj dobrze!

— Nu, słucham.

— Słowo — krajowa! — zrozumiałeś? — Powtórz!

— Krajowi.

— Ale nie krajowi, tylko krajowa! — zawołał zgorszony pan Anzelm. — O! co to za ciemnota! Co to za ciemnota.

Ubolewającego tak pana Politatowskiego, naszli pan Boromeusz i Aleksander. — Przyjął ich zimno, chociaż rad był pochwalić się swoją fabryką, swemi pomysłami. Przyjęcie takie było zasadniczem postępowaniem z ludźmi, albowiem niepraktyczni tylko ludzie do serdeczności i uniesień skorzy.

Z panem Boromeuszem, jako z dawnym znajomym i kolegą szkolnym przywitał się jeszcze dosyć grzecznie. Aleksandra zaś obdarzył tylko poruszeniem głowy.

Pan Aleksander Szeremet, — odezwał się pan Boromeusz, przedstawiając Aleksandra. — Mój dobry, młody przyjaciel. Ukończył technikę, był nauczycielem u twego brata na wsi, teraz szuka pomieszczenia w mieście. Ponieważ wiem, że masz znajomości z ludźmi fachowymi, zresztą z urzędem miejskim, polecam ci go łaskawej pamięci twojej. — Może wiesz o jakiej posadzie, może sam będziesz potrzebował budowniczego?

— Hm, hm! — chrząknął z namysłem pan Politatowski, i nastało chwilowe milczenie. Po namyśle odezwał się znowu szanowny obywatel miasta Lwowa a przyszły protektor Aleksandra:

— A kiedy pan byłeś u mego brata nauczycielem, to powiedz mi, czy też to będą praktyczni ludzie z tych chłopców? — Bo co do mego brata, ten zawsze był niby to i n t y l g e n c j ą, a przecież bardzo niepraktycznym człowiekiem.

— Trudno powiedzieć stanowczo: czem będą dzieci, wyrosłszy na ludzi — odparł Aleksander. — Zdolności nie

można im odmówić; potrzeba je tylko rozwinąć, ażeby wydały talenta, a zatem i ludzi pożytecznych.

— Nam panie praktycznych ludzi potrzeba, praktycznych! — zawołał pan Anzelm. — Uczonych mamy dosyć, i co to z tego? Czy mogą oni podnieść przemysł w kraju, broń Boże! A czemu panie? Nie wiedzą jak zacząć. Oni nam przemysłowcom, ludziom cośmy na tem zęby zjedli, oni każą nam uczyć się.

Pan Boromeusz wtrącił z uśmiechem:

— Pozwól sobie powiedzieć, że i te wasze zjedzone zęby, nie popchnęły przecież przemysłu ani o włos.

— A kiedy tak mówisz, to już nie wiem, jak ci mam odpowiedzieć na to — rzekł zirytowany pan Anzelm.

— Ależ nie unoś się, nie gniewaj. Ja sobie pozwoliłem zupełnie niewinnego żartu.

— Ludzie praktyczni nie unoszą się nigdy; kieruje niemi rozum, a kiedy rozum, to też pogardzają żarcikami choćby najrozumniejszych — zabrał znowu głos pan Anzelm, silący się na powagę. — Nie do ciebie to mówię, ale do tych przemądrych, co to im się zdaje, że każdy przemysłowiec, to nula. — Czy wiecie panowie, że sama moja fabryka wyrabia świece stearynowe, mydła, zapałki i naftę. A teraz myślę nawet o założeniu cegielni. Prawdą a Bogiem powiedziawszy, to my, obywatele lwowscy, mamy taki nawał pracy, że pod ciężarem tej pracy, inni by się dawno ugięli. — Bo to raz, zajęcia domowe, fabryki, powtóre zajęcie dla dobra miasta, sprawy publiczne, to nie żarty!

— Przyznaję, że to nie żarty — rzekł udając upokorzenie pan Boromeusz.

— A widzisz, widzisz, — zawołał z tryumfującą miną pan Anzelm. — Ale co to wam mówić o tem, ludziom nie fachowym. — Ba, ba, cobym ja nie zrobił, gdybym jeszcze do wszystkiego starania, miał tak własny las. — Nie potrzebowałbym wiele narzędzi sprawiać, ale sam, kazałbym je na miejscu wyrabiać. No, a nie potrzebuję dodawać, że nie kupowałbym także materjału na zapałki, i tak cały zysk za surowy produkt zostawałby w mojej kieszeni.

Sprzeciwiało się naturze Aleksandra puszczanie mimo uszu tak nieopartych na żadnej podstawie argumentów.

Chciał więc jak najgrzeczniej wykazać gospodarzowi fałszywe jego twierdzenia, i odezwał się po namyśle:

— Jeżeli pan pozwoli zrobić jedną uwagę...

— A jaką to, jaką panie? — zapytał pan Anzelm.

— Sądzę, że więcej korzyści pan odniesie zajmując się wyłącznie przerabianiem płodów surowych na towar, wydobycie produktu surowego pozostawiając komu innemu.

— A! a! pan widocznie człowiek niepraktyczny i nie fachowy — zakrzyczał gospodarz.

— Nie pochlebiam sobie, abym już nabył dosyć praktyki — odparł Aleksander. — Ale ośmielam się twierdzić, że zamiary pańskie co do łączenia fabryki z płodami surowemi, sprzeciwiają się kardynalnym zasadom ekonomji.

Pan Boromeusz, zaniepokojony tem wystąpieniem Aleksandra, dawał mu znaki i szarpał za połę, ażeby nie zraził przyszłego protektora. Ale — pan Anzelm Politatowski wyśmiał młokosa.

— A co też to pan mówi o ekonomji? — Ekonomja potrzebna na wsi, ale nie w mieście, nam, ludziom fachowym. — Hm, jak też to tę naszą młodzież kształcą. I wielce ubolewając nad złem, fałszywem, opacznem krzewieniem oświaty — począł chodzić po pokoju pan Anzelm.

Szeremet chciał raz jeszcze odezwać się, ale powstrzymał go pan Boromeusz szepnąwszy na ucho:

— Daj spokój, popsujesz cały interes, a mimo to nie przekonasz go.

I byłaby na szczęście Aleksandra upadła ta kwestja, gdyby jej właśnie na nieszczęście nie wywołał znowu sam gospodarz.

— To pan tedy — rzekł, — szukasz posady jako technik? — To dobrze, że udałeś się do mnie. My możemy wiele, my wszystko możemy zrobić; ale wy panowie młodzi, musicie sobie wybić z głowy niepraktyczność. Porzuć pan także tę ekonomję, to nic warte dla miasta, to może chyba nauka dla wieśniaków, rolników.

Aleksander nie mógł już dłużej panować nad sobą, i jakkolwiek grzecznie, zaczął jednak stanowczo:

— O ile wiem, o ile wie każdy znający choć pobieżnie tę naukę, to ekonomja jest właśnie nauką praktyczną. — Uczy jak prowadzić handel, jak fabryki, rolnictwo, a tem samem podnosić przemysł...

— A kiedy ten pan tak rozumuje — przerwał pan Politatowski zwrócony do Boromeusza, — to ja boję się dawać mu rekomendację. — Jestem znany jako człowiek fachowy, możemy wiele, powiedziałem... Ależ z drugiej strony wymagamy, aby słuchano naszej rady, bo od czegoż my radni nakoniec?

— Tak, rzeczywiście, od czego radni jesteście — podchwycił pan Boromeusz. I ująwszy za rękę dawnego kolegę szkolnego, odprowadził go w drugi koniec pokoju. Rozmawiali po cichu. Szeremet dosłyszał tylko, co zresztą potem głośno powtórzył pan Politatowski, że może liczyć na dobre chęci jego.

— Bo zresztą panie — rzekł przy pożegnaniu pan Anzelm — my chcemy dobra kraju... My obywatele miejscy staramy się o ludzi praktycznych. A kiedy mój stary przyjaciel tak bardzo poleca pana, to możesz pan i na mnie liczyć.

Aleksander Szeremet podziękowawszy za tak piękne nadzieje, wyszedł ze ściśnionem sercem. Z nadzieją przyszedł, z nadzieją też tylko odchodził.

Postępował zamyślony i milczący obok pana Boromeusza, który także nie bardzo był widać uradowany z rezultatu zrobionej wizyty.

Gdy wyszli z Żółkiewskiego i zaułkami dostali się na Szkarpy, odezwał się pan Boromeusz:

— Usiadźmy chyba i spocznijmy.

Aleksander zgodził się na to w milczeniu trwając, i usiedli.

Chłodny wiatr październikowy, nanosił pod nogi suchych i pożółkłych liści. Pan Boromeusz miał je nogą i wpychał pod ławkę, a kiedy coraz świeże szeleszcząc sypały się całemi stosami, zerwał się z miejsca i zawołał:

— Nie cierpię jesieni, i tej całej umierającej a chrzeszczącej natury!

— Czy szelest zwiędłych liści tak pana razi? — zapytał Aleksander.

— I szelest, i wiatr nieznośny, i ta zima już nadchodząca. — Nachodzi nieszczęśliwych jak nieprzyjaciel. Bo to panie... et!...

— Czemuż pan nie kończysz, czy mi nie ufasz?

— Nie to panie, ale co to pomoże? — To mówiąc podniósł rękę pan Boromeusz, jakby łzę ocierał.

— Bo to panie, — kończył, — nędza doskwiera. Mniejsza o mnie, byłem już, jak to powiadają, na wozie i pod wozem. Ale dzieci, znasz je, coż one winny. Zima na karku, w domu nic ciepłego, nadziei z niskąd.

— Nie bierz mi pan za złe, jeźli odezwę się z radą.

— A, panie Szeremet, niedawno się znamy, ale mogłeś mię poznać. Twojej rady zawsze chętnie posłucham choć młodszy odemnie jesteś.

— Gdyby — odezwał się Aleksander — zmienić dotychczasowy sposób życia, gdybyście państwo skromniejsze najęli sobie pomieszkanie?

— Zrobiłbym to dawno, ale dla córek nie mogę.

— Jakto, panie nie zgodzą się na to? — To chyba nie znają rzeczywistego położenia pańskiego.

— Potrosze i to, ale co najgorsza, to upor mojej najstarszej córki.

— Panny Melanji? — wyrzekł źdźiwiony Szeremet.

— Dziwi to pana — nieprawdaż? — Ha, no, widzisz pan, jako ojciec mógłbym rozkazać. Ale ja szukam łagodniejszych środków.

Aleksander szedł znowu przez chwilę w milczeniu, poczem, jakby namyśliwszy się, stanął i zatrzymał pana Boromeusza.

— Wiesz pan, ja się poważę nakłaniać pannę Melanją do zreformowania całego domu.

— Zgoda, sprobuj pan, może mu się uda. Ale pomimo to, i pomimo moich zabiegów — zimna nie odwrócimy.

— Prawda. Przeklęta ta zima! wyrzekł Aleksander.

— Jakby wam tu poradzić?

— Radź no pan sobie, bo także, jak uważam nic ciepłego jeszcze nie masz.

I uścisnął dłoń Aleksandra, a po chwili dodał z uśmiechem:

— Czy znasz pan to proste sobie przysłowie: »Zeszło się dwa Jędruchy, jeden ślepy, drugi głuchy?« — Otoż tamto tak coś jak my dzisiaj.

— Nie traćmy jednak nadziei.

— Do pana uśmiecha się ona jeszcze. A mój dawny kolega zrobił panu niemało.

— Na pana Politatowskiego — odparł Aleksander — nie powinienem podobno liczyć. Mam nadzieję, bo w każde rano jest ona dla mnie do wzięcia, choć wieczorem wymyka się gdzieś ta wietrznica.

— Naturalnie, ucieka tam, gdzie jej ciepło.

— Pierś moja jeszcze nie zastygła!

— Ale zato masz ręce jak lód zimne — rzekł zatrzymując się pan Boromeusz, bo stanęli właśnie przed jego pomieszkaniem. — I nie zaszkodziłoby, gdybyś jeszcze wstąpił do nas na chwilę ogrzać się.

Aleksander zawahał się.

— Może zapóźno?

— Siódmej jeszcze nie ma. Ciemno, to prawda, bo dzień krótki. At, na każdym kroku straszne to przybliżanie się zimy.

To mówiąc spojrzał w górę i dodał:

— Co widzę! Okna oświetlone, czy tylko nie mają gości? Hm, a może też synek mój przyjechał. — Pan go jeszcze nie znasz?

— Nie, nie znamy się.

— Najstarsze to dziecko... Ale, urwis po prostu. Zgryzota na starość.

Szeremet chciał zapytać zanim pozna młodego brata Stasi, czem też zajmuje się, ale pan Boromeusz nie zostawił mu czasu. Poszedł naprzód i poprowadził go przez wschody nie dawszy odetchnąć.

Zastali całą rodzinę razem, ale zasmuconą. Stasia i matka płakały, Melanja i Urszulka stały przed młodym człowiekiem zajęte opowiadaniem jego. Młody człowiek wyglądał jakby powracał pieszo z dalekiej podróży. Surdut na nim mocno podszarzany, buty również, pomimo widocznego starania właściciela ich, ażeby je jakokolwiek utrzymać, były w stanie rozpaczliwego dogorywania.

Szeremet żałował w duchu, że dał się namówić i wszedł o tej porze. A co gorzej, że był świadkiem ukrywanej może tajemnicy rodzinnej.

Pan Boromeusz był jednak bez ceremonji. Skoro młody człowiek powstał, i powitał go, zwrócił się zaraz do Aleksandra mówiąc:

— Oto syn mój panie, Cezar. — Chciał zostać artystą, a jest tylko komedjantem prowincjonalnym.

— A!!! — zaprotestowali razem Cezar, Melanja i Urszulka.

— Oj Z,. moje dzieci, Z. wielkie z niego — przerwał ojciec. I zwracając mowę do syna, rzekł:

— Oto ten pan, który zemną przyszedł, pan Aleksander Szeremet, technik, ukończony, jednem słowem człowiek. Polecam ci go jako starszego brata, gdybyś chciał szukać prawdziwej przyjaźni. — A czegoż wy płaczecie? — mówił dalej, zwracając się do żony i Stasi.

— Pewnie, że jest czego płakać, — odparła Stasia. — Cezar powrócił pieszo aż z Brodów, a tatko jeszcze tak źle go przyjął.

— No, no, ja nie myślałem tak źle — uspakajał pan Boromeusz. — A że pieszo powrócił, nic strasznego, on przecież mężczyzna.

— I ja sądzę, — odezwał się Aleksander, — że pan Cezar nie wiele sobie z tego robi. Wszelkie niepowodzenie i trudy dobrodziejstwem są dla mężczyzny, bo są doświadczenia szkołą.

Szeremet nie przeczuwał nawet, że kilkoma temi słowami podbije sobie serce Cezara młodziutkiego. Tak jednak było. Cezar uczuł wdzięczność, że usłyszał nie politowanie fałszywe, ale dodanie otuchy.

— Rzeczywiście — odparł — strudzony jestem, ale nie wiele sobie z tego robię. Bo czemże są trudy wobec przyszłości, jaką postanowiłem sobie zdobyć.

— Mój synu — rzekł na to z uśmiechem pan Boromeusz — nim przystąpisz do zdobywania laurowego wieńca, postaraj się o protekcją.

— Ja miałbym to robić? — Za nic w świecie! Jeżeli zasłużę kiedy na uznanie, to mi je dać muszą.

— *Ecce homo*! — zawołał pan Boromeusz — wieku dziewiętnastego, co zaczyna dopiero na świat wypełzać! — A że każdy to samo powtarza, dopóki się nie przekona. — Panie Szeremet! biorę pana na świadka, com wczoraj mówił, i czy nie prawdę powiedziałem? — Pan sam szukasz od roku pracy. Gdybyś był cieślą, stolarzem, murarzem, nosiwodą znalazłbyś przecie i bez protekcji robotę; ale że ukończyłeś w pocie czoła studja mozolne, że ci się należy jakiekolwiek bodaj pomieszczenie między ludźmi, co krzyczą, że mają ogromne rozumy — czy masz do dziś cokolwiek? Ot, nawet dzisiaj, powróciliśmy właśnie od szanownego obywatela, któren także powiada, że ma rozum i buduje przemysł, i cóż? — Czy szanowny obywatel miasta Lwowa uznał pańskie zdolności? — Nie! Zrobił tylko nadzieję. — Czy pójdziesz pan jutro, pojutrze do pana Anzelma?

— Postanowiłem chodzić, dopóki czegokolwiek nie wykołatam — odparł Aleksander. — Smutno to wprawdzie, że ludzie często ograniczeni natrząsają się z nas, są nieludzcy, i to dla tego jedynie, że są panami kilku lub kilkunastu tysięcy, ale cóż robić? — Oto, doświadczywszy tego, przychodzę do przekonania, że ludzie tacy lubią karki elastyczne u swoich bliźnich, lubią, choć mienią się najzacniejszymi. — Ustało niewolnictwo kmiece, a zaczyna się miejskie. — Czyli, rodzi się proletarjat biórowy; robotnicy jakiejkolwiek gałęzi, choć przemysł jeszcze w powiciu, zaczynają uczuwać ciężkie jarzmo kapitalistów. To wszystko jedno, kto daje pracę. Dość, że ktokolwiek daje, chce, ażeby robotnik był jego niewolnikiem. Gniewa to owych panów, jeżeli pracownik ma jakiekolwiek pojęcie, sąd własny, serce, a broń Boże samodzielnie chce stanąć przynajmniej w tej gałęzi, którą mu powierzono. O! wtedy braterstwo protekcjonalne wyzionie swą miłość słowami, które mają żądła jak osy.

Wszystkim, a najbardziej panu Boromeuszowi podobało się to, według niego wypowiedzenie prawdy; jednej tylko pannie Melanji nie przypadło do gustu, i odezwała się z ironją:

— Pan Aleksander zapewne nienawidzi pieniędzy, kiedy tak gorżko wyraża się o zamożniejszych?

Uderzyło Aleksandra zdanie takie; zdanie jak mu się zdawało, pewnie nie w kole rodziny poczerpnięte. Postanowił dochodzić z jakiego też wypływało źródła? — I miał już do wybadania dwie tajemnice. Zkąd podobne zdanie, i dla czego upor panny Melanji w niezastosowaniu się do położenia?

Myśli te szybko przemknęły, ale postanowienie dochodzenia tajemnicy stało się dlań zadaniem. Nie można go było wykonać zaraz, bo chwila nie potemu, a prócz tego, potrzebne było jeszcze i przygotowanie.

— Co się odwlecze — pomyślał — niekoniecznie uciecze — i zabierał się do odejścia, gdy Cezar nagle objawił chęć towarzyszenia mu do domu.

— Zmęczony pan jesteś, potrzeba panu wypoczynku — zauważał Aleksander. — Ja mieszkam daleko, a po tak uciążliwej drodze jaką przebyłeś, to spacer nie bardzo przyjemny będzie.

— Ale nie, nie czuję znużenia — odparł Cezar. — I jeżeli panu tylko nie stanę się natrętem nieproszonym, to pozwolisz, że towarzyszyć mu będę.

— A! jesteś pan zawsze gościem we Lwowie, choć nawet w domu rodziców — rzekł z uśmiechem Aleksander. — Otoż ja zamieszkawszy parafją, byłbym niegościnnym niezaprosiwszy pana, z całego serca, proszę, pójdź! Czy tylko państwo?...

Pan Boromeusz przerwał żywo:

— I owszem, niech idzie kiedy nie strudzony.

Już na wychodnem nie powstrzymała się Melanja, aby się nie sprzeciwić, i rzekła niby od niechcenia:

— Lepiej byś w domu siedział, bo pan Szeremet dziś także zmęczony.

Ale tu Stasia nie omieszkała zaprotestować:

— I co też tobie szkodzi?

Wychodzący właśnie Szeremet i Cezar nie słyszeli więcej; a kto wie, czy po ich oddaleniu się, nie zawrzała walka między przychylną Szeremetowi Stasią, a nielubiącą go Melanją.

IV.

Szeremet wyszedłszy na ulicę, podał rękę młodemu Cezarowi, ażeby strudzony oparł się na nim śmiało. Tak doszli aż do miejsca, gdzie z ulicy Pańskiej prowadzi jedna droga wprost na Zielone, druga zaś na prawo, na Stryjskie. Tutaj zapytał Cezar, czy jeszcze daleko?

— Dwa razy tyle, cośmy już uszli mamy jeszcze przed sobą — odparł Aleksander i dodał:

— Dawno poświęciłeś się pan zawodowi dramatycznemu?

— Od pół roku.

— Dopiero?

— Jednakże doznałem już nie mało...

— Zawodów?

— Tak, i zawodów — odrzekł z westchnieniem Cezar. — Ale zawody, trudy, nędza i głód czasem nie tyle sprawiają cierpienia, ile coraz świeże doświadczenia, że...

I umilkł nagle, Szeremet zapytał tylko:

— Że?... I cóż?

— Że tyle złych ludzi na świecie. Bo, może pan śmiać się będziesz ze mnie — ja sądziłem, że źli, to wyjątki. Ja dziś jeszcze tak sądzę. Otoż to boli, kiedy ludzie pogardzają nami, przezywają komedjantami, zaledwie pojawimy się w którem mieście. A zaręczam panu, że znajdziesz więcej między nami podobnie myślących jak ja.

— Więc pan dopiero pół roku jesteś artystą — rzekł zamyślony Aleksander. — A przedtem?

— Ukończyłem tylko sześć klas gimnazjalnych, to prawda — wyjechałem był na wieś jako nauczyciel. Chciałem pomagać rodzinie tym sposobem.

— Cóż pana spowodowało do obrania tego zawodu? Zamiłowanie?

Tu znowu Cezar westchnął. Szeremet zaczynał mu niedowierzać, ale Cezar dodał sam po chwili:

— Zamiłowanie... Ale i myśl, że na tej drodze dojdę prędzej do niezależności; że może mieć będę znaczenie choć nieukończonego, ale zawsze już jak to mówią — człowieka.

W tej chwili zatrzymał się Szeremet przed domkiem nieokazałym, otworzył drzwi i wprowadził do sieni swego młodego przyjaciela.

— Tu ciemno zupełnie — odezwał się biorąc znowu puszczoną dłoń Cezara. — Pójdź pan za mną. Pójdziemy po wschodkach.

Kiedy tak zwolna postępując, dochodzili już do pomieszkania pod strychem, doleciał ich krzyk jakiś.

Szeremet stanął i rzekł z cicha:

— To podobno mój biedny gospodarz, od którego odnajmuję pokoik. Tak, to głos jego.

Gdyby nie ciemność najzupełniejsza, byłby Szeremet spostrzegł nagłą zmianę i bladość na twarzy Cezara. Czy poznawał także głos znajomy, czy tylko podobny? Szeremet pociągnął dalej Cezara, gdy usłyszeli nagle głosem donośniejszym wypowiadane słowa i każde zdanie wyraźnie:

— Wszystkich, wszystkich was dzisiaj pozabijam! Ty jeszcze śmiesz mówić, że ta pani, to dobra pani, to tylko mąż jej winien? Psy! psy wszystko! Jeszcze gorzej jak psy, to nasze katy! Wszystkich bym wywieszał, darłbym pasy! To łotry! zbóje! A, dawniej to się nad chłopem znęcało, a teraz, to już oficjalista ma być ich podeszwą?... O! nie doczekają! Dobrze, z torbami pójdę, palić będę... O! ja się odwdzięczę!... A co to... toś ty nie mogła powiedzieć, że my potrzebujemy, że kiedyś skończyła robotę, to dziś się należy?... A! niema drobnych! Panowie, a my z głodu mamy ginąć? — Szelmy, i wy z niemi! Zaraz mi idź, dziś jeszcze, bo was ubiję!

I ucichło nagle. Szeremet sądził jak się zdaje, że te zapalczywe pogróżki mogą się spełnić, bo poskoczył szybko ku drzwiom i trącił tak silnie, że rozwarły się na oścież.

Pozostały w oddaleniu Cezar zadrżał nagle i oparł się o przeciwległe drzwi od pomieszkania Szeremeta.

Pokój oświetlony był dosyć jasno płonącem łuczywem na kominku, który służył oraz za kuchnię.

W kącie na sofie siedziało dwoje dzieci skulonych i wystraszonych. Pod oknem, o stół oparta kobieta już nie młoda, płacząca. Bliżej zaś progu mężczyzna barczysty o płowych w wielkim nieładzie włosach, z laską w ręku. Na ziemi klęczało dziewczątko, całe w bieli, liczące może piętnaście wiosen życia. Łzy płynęły po twarzy dziewczęcia, a ręce miała złożone jak do modlitwy.

Kiedy mężczyzna, którego Szeremet nazwał gospodarzem, podniósł laskę, zamierzywszy się nią może na córkę, Szeremet wszedł szybko i stanął przed nim. Cios był wymierzony i Szeremet nie zdołał go odwrócić od siebie, ale odwrócił od dziewczyny.

Teraz mężczyzna z laską w ręku upamiętał się cokolwiek. Chwiał się wprawdzie, nogi mu nie służyły należycie, ale rzucił w kąt laskę i zaczął zawstydzony przepraszać Szeremeta.

Dziewczyna zerwała się szybko i skryła za matkę.

Skoro przeminęła burza ostatnich słów groźnych i groźniejszych jeszcze, aczkolwiek milczących spojrzeń, odezwał się zcicha Aleksander:

— A panie Pawle! Czy to się godzi? — Byłbyś mógł w zapalczywości zabić własną córkę.

— Bo też ja jej to przepowiadam jeszcze! — odparł zaczepiony, przybrawszy ton dawny.

— Ej, daj spokój, tak nie mów — mitygował Aleksander. — Ręczę, że pożałujesz tego, coś dziś zamierzał. Już ja znam pana. Lepszym jesteś, niż sam o sobie sądzisz. I tym lepszym powinienbyś być w każdej chwili.

Łagodny głos, a przytem stanowczość, z jaką Szeremet wymówił te słowa, rozbroiły do reszty pana Pawła.

— To prawda panie — odezwał się głosem przytłumionym. — Ach! to prawda, że zły jestem. Ale to widzi pan bieda, nędza, a między nami powiedziawszy, to wódka trochę tego złego narobiła.

— Ale nie trochę, bo tu mogło być bardzo dużo złego — mówił już teraz śmielej Aleksander, biorący przewagę.

— Ach! i to mogło być, prawda. Ale panie nie o mnie tu chodziło, o tamte młodsze dzieci. Oto skończyły robotę, żona i ta moja kochana Anusia, skończyły i nie zapłacono im. Dzieci chcą jeść, cały dzień nic nie jadły, a one mi powracają bez pieniędzy, a ja powracam, co prawda, trochę podchmielony, z rozpaczy, niech mi pan wierzy. Cały dzień darmo schodziłem miasto jak duże. Zarobić gdzie co, ani sposobu, bo cóż zresztą potrafiłbym, chyba ot nie źle może co przepisać.

— A może ja będę mógł co na to poradzić — odezwał się znowu Szeremet, choć ani w głowie a tem mniej w kieszeni miał na to radę.

— Kiedy pan łaskaw, to owszem, może pan zaliczy co za przyszły miesiąc. Gospodarzowi, jak przyjdzie pierwszego, zapłacić muszę, już to jakoś będzie.

— Dobrze, bądźże pan cierpliwy, aż wrócę. — Co powiedziawszy, wyszedł Szeremet i szybko drzwi przymknął, zrobił kilka kroków do drzwi przeciwległych i otwierając je, rzekł zcicha:

— Byłeś pan świadkiem i słyszałeś wszystko?

— Ach, słyszałem — odparł Cezar.

— Obiecałem ich dzisiaj poratować, ale sam nie mam ani szelążka. Może masz kilkanaście krajcarów — pożycz?

— Ja dla nich duszę bym oddał, a nie mogę tak małej zrobić przysługi, bo nie mam.

Szeremet popatrzył w oczy Cezarowi, jakby chciał zajrzeć aż do duszy i rzekł:

— Dla nich, duszę!? Czy znasz tę rodzinę?

— Tak jest — znam. Ale jak pan im dopomożesz, dziś jeszcze?

— Jak? — Otoż właśnie o tem myślę — odparł Szeremet. Przeszedł po pokoju pocierając czoło i odezwał się znowu:

— A jednak muszę, muszę jakoś poradzić!

— Czy i panu na tem zależy? — zapytał Cezar, a takim tonem, jakby o coś więcej chciał zapytać.

— O! bardzo, bardzo mi na tem zależy — odparł zamyślony Szeremet.

Cezara trapiła myśl jakaś, był niespokojny, nareszcie stanął przed Szeremetem nagle, i wyrzekł jednym tchem prawie:

— Ale powiedz pan otwarcie, czy chodzi panu o rodzinę, czy o ich córkę?

— A! pan widzę kochasz? — wyrzekł zcicha Szeremet.

— Tak, ja ją kocham!

— Pojmuję niespokój pański — mówił Szeremet spokojnie. — Ale mogę cię zapewnić, że ja jej nie kocham. Coś mógł widzieć, coś widział przed chwilą, było skutkiem współczucia, litości, a nawet obowiązku. Bądź pan zatem zupełnie spokojny. Ubolewam nad rodziną, nad ojcem tej rodziny. Dla mnie wszelkie zapomnienie się, sponiewieranie człowieka, jest krzywdą wyrządzoną ludzkości. Widząc upośledzenie człowieka, zdaje mi się jakbym sam był upośledzony. Jego upokorzenie, mnie upokarza, jego hańba mnie rumieni, a cierpienie boli! Tak panie, dla tych powodów chcę im przyjść z pomocą. Bądź spokojny, nie kocham tej pięknej zresztą i szlachetnej dziewczyny. Zdaje mi się, że wytłumaczyłem się. Radź teraz a prędko!

— Mój Boże! jakże tu radzić? — zawołał zrozpaczony Cezar. — Może pan posiadasz co, bez czego mógłbyś się obejść, ażeby sprzedać? Bo ja mam tyle co na sobie, to mój majątek.

— Kilkanaście książek jeszcze — rzekł Szeremet. — Ale antykwarnie o tej godzinie już pozamykane.

— A, to dobrze! — zawołał nagle Cezar przewracając książki.

— Co?

— Masz pan dwa tomy Fredry! Czy poświęcisz je pan? Antykwarnie zamknięte, ale mam znajomych kilku aktorów, to któryś z nich kupi.

— Więc zabierz książki i śpiesz!

— O! polecę jak najprędzej — rzekł Cezar, i wybiegł co tchu na ulicę.

— Ktożby powiedział — myślał Szeremet — że chłopiec ten odbył dziś daleką podróż pieszo? Ha! miłość! Miłość tylko stwarza tak cudowne, nadludzkie siły! Zapałem swoim, on mię zapalił. O! czuję, jak chciałbym pomódz panu Boromeuszowi... Kocham Stasię! To dla niej, dla niej chciałbym być pomocnym rodzinie jej, czuję!

Usiadł, nie mógł usiedzieć. Przeszedł się po izdebce, ale myśli trapiącej nie pozbył, uczucia nie ukołysał. Co tlało w iskierce, zaczęło płonąć pożarem. I znowu myślał:

— Tak palić się wiecznie, niepodobna! Odkryć tajemnicę, oświadczyć się rodzicom? — A! sumienie nie pozwala! Nie mam nic, nic! nawet protekcji. Ha! pójdę nareszcie tam, gdzie nie chodziłem z prośbą wtedy, gdy miałem mniej jak dzisiaj, bo byłem studentem. Pójdę do ciotki. Wszakże potrzebuję tylko jej protekcji. Jakimkolwiek zasadom hołduje pani Heterowska, jest zawsze moją ciotką. Zresztą, tak mało od niej wymagać będę: jednego słowa rekomendacji! Mogłaby przecież więcej, jak pan Politatowski. Sprobuję!

Zatrzymał się chwilę nadsłuchując czy nie powraca Cezar. Po chwili rzekł:

— Cezar znajdzie może chwilowy ratunek dla rodziny, której dziecię pokochał? Pomoże im chwilowo i to rzeczą tak małą... dwie książki! A ja nie mogę i tyle dla domu, którego chciałbym być synem. Przygotowany jestem na wszystko, i jutro... idę do pani Heterowskiej. Odmówi, ha! to darmo! Będę przynajmniej pewny, że u krewnych nie powinienem na przyszłość szukać pomocy.

I myślał tak postanowiwszy. Minął kwadrans i drugi. Nakoniec pojawił się Cezar. Wracał bez książek; uradowany, bo przyniósł całego guldena.

— Jest! — zawołał Cezar wbiegając. — Zanieś im pan!

— Może pójdziesz przywitać się z nimi!

— O, nie! Nie dzisiaj — odparł Cezar. — Chociaż mi przykro, że jestem tak blizko, a jednak... Ale zrób mi pan przysługę. Zagaszę świecę i zostanę w ciemnym pokoju, a pan nie zamykaj drzwi za sobą i zostaw tamte od ich pokoju także otwarte. Tym sposobem będę ją mógł widzieć przez chwilę, niepostrzeżony.

Szeremet uczynił zadość gorącemu pragnieniu młodzieńca, i wyszedł, ażeby doręczyć sąsiadowi obiecaną pomoc.

Pan Paweł wybiegł za Szeremetem do szczupłej sieni i ukrywszy się rzekł zcicha:

— Panie! wdzięczność moja wielka, a przecież ja zły jestem, ja wiem o tem.

— To też najlepiej odwdzięczysz się zaniechawszy wywoływania w domu scen podobnych jak przed chwilą.

— Choć na starość a przyrzekam poprawę — rzekł lokator sąsiad, i wbiegł napowrót do swojej izdebki.

Szeremet wrócił także i czekał, aż drzwi naprzeciw zamkną, ażeby Cezar mógł dowoli napatrzyć się. Kiedy już i drzwi zamknięto i światło pogaszono, pościelił Szeremet gościowi na sofie, a sam rzucił się na ziemię podścieliwszy kilimek. Ułożył się niby do snu, ale oka nie zmrużył. Tak zajęty był dniem jutrzejszym. Cezar znużony — nie zasnął także długo, bo każdy z nich myślał, myślał o przyszłości, nie mając doli dzisiaj. (C. d. n.)

Rejtan.

Tragedja historyczna w pięciu aktach

przez

BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Scena V.

PONIŃSKI (*sam*).

Tfy, to mi sprawa! — Przestań ty mię ścigać
Wybladła furjo bledszej jeszcze dumy!
Dla tegoż miałbym przed sobą się wzdrygać,
Że idę drogą rozumu? — Rozumy
Dziś światowładne! A władza? — O, trudno
Zapomnieć myśli: władza! — (*Po chwili*).
Niech się dzieje! —
W Rzeczpospolitej dziś mętno i brudno —
(*Zwrócony ku firmamentowi*).
Dla czegoż czytać nie umiem koleje
Losów, w tej księdze, co się z światów kreśli!
Pragnąłbym dzisiaj tylko rzucić okiem
Na jedną kartę — jedną! (*Po chwili*).
Myśli! myśli! —
Dla czego myśli? Z wypadków potokiem
Można dopłynąć —
(*Po chwili uderza się w czoło*).
Człowiecze, ej! brednia! —
Dlaczego brednia? trza w myśli być śmiałkiem!
Z wypadki... (*Po chwili stanowczo*).
Dość, dość! Tymczasem z przedednia

Trzeba korzystać i zostać marszałkiem
Konfederacji i sejmu!

(*Z domu posłów dolatują bardzo głośne okrzyki i szczęk broni*).

Szczęk szabel?

Co to jest? —

(*Drzwi domu posłów wylatują z trzaskiem na scenę i wypada tłum szlachty z hałasem; pałasze w ręku — niektórzy walczą, wszyscy krzyczą*).

Bójka. Do djabła! co żywo
Trzeba się ukryć. Rejwach! wieża Babel!

(*Odchodzi szybko do swego domu*).

Scena VI.

REJTAN, KORSAK, DUNIN, GACYK, I., II. SZLACHCIC, tłum szlachty — później PAŹ królewski.

REJTAN (*uwijając się między poważnionymi*).
Panowie bracia, spokój! Nieszczęśliwą
Ojczyznę mamy ratować, na Boga!
Także ją dźwigniem? — Panie Szerpentyński,
Jeślić Bóg wielki i Ojczyzna droga
Powstrzymaj zapęd! stój!

GŁOSY (*stronnictwa Ponińskiego*).
Wiwat Poniński!

(*Obydwa stronnictwa ścierają się*).

REJTAN (*siląc się powstrzymać obie strony*).
Stójcie! a wszakże krew bratnia popłynie!

I. SZLACHCIC (*do Rejtana*).
A Waść się urwał gdzie? hę, ty z Waszecia!
W jakiej kto kiedy widział cię rodzinie?
Jakie ci miano, hę?

REJTAN.
Klątwa stólecia!

I. SZLACHCIC.
Górą Poniński! Ty patrz swego nosa!

(*Bójka ustaje; obie strony formują się na drugim planie sceny mimowolnie we dwa fronty ukośne otwarte ku widzom i wyczekują siebie wzajemnie; na pierwszym planie na skrzydłach tych frontów stoją: po stronie nierównie większej liczbą Gacyk, I. i II. Szlachcic, po drugiej słabszej: Rejtan, Dunin, Korsak*).

GACYK (*przywołuje przeciwnikom*).
Jchmość panowie królewscy, o wstydzie!
Z tytułu łaski i pańskiego trzosa
Knowają zdradę!

DUNIN.
Milcz ty szczwany żydzie!

II. SZLACHCIC.
Tak, tak! bo prawda zawsze w oczy bodzie.

KORSAK.
Więc my sprzedani zdradzie? ha, my zdradzie?

I. SZLACHCIC.
Jużcić. —

DUNIN.
Milcz łotrze!

GACYK (*pompatycznie*).
Biedny mój narodzie!
Bójkę zaczęli w poselskiej naradzie!
O zgrozo! jako myśl puścisz po dziejach,
Ta ziemia gwałtów takich nie pamięta!

DUNIN.
Taż to po Waszmość panach dobrodziejach
Widoczna zdrada!

REJTAN.
Dość, dość!

GACYK.
Matko święta!
Okropna zdrada!

GŁOSY (*stronnictwa Ponińskiego*).
Zdrada! Zdrada! Zdrada!

REJTAN (*występuje na środek sceny między obie strony*).
Do Waszmość panów raz jeszcze. ostatni,
Żałobnem sercem przemówię! a biada
Temu, kto zechce odnowić spór bratni!

GACYK.
A ktoż to sprawcą jest tego bigosu?
Mospanie! teraz mówić już nie pora!

REJTAN.
A ja się pytam Waści: kto by głosu
Mógł mi odmawiać? Wiemy nie od wczora
Jakich praw świetnych używanie służy
Obywatelom tej Rzeczpospolitej;
Jakoż mi serce moje dobrze wróży,
Że Icbmość bracia swe własne zaszczyty
Dziś nie znieważą na mnie, odmówieniem
Głosu, którego mi prawo nie skąpi?

(*Chwila milczenia*).

Za prerogatyw kto jest znieważeniem,
Tych, co nam z wieków służą, niech wystąpi!

I. SZLACHCIC.
Słusznie powiada!

II. SZLACHCIC.
Jużcić, nikt nie może
Zakazać —

GACYK (*na stronie*).
Czekaj ty przeklęty kacie! — (*Głośno*).
Waszmość chcesz głosu? Zaprawdę! mój Boże!
Możesz do syta mówić panie bracie:
Prerogatywy te z wieków nam zeszły!

GŁOSY (*ze wszystkich stron*).
Prosimy —

GACYK (*dumnie*).
Wszak my prerogatyw strażą!

REJTAN.
Więc tedy człowiek już w latach podeszły,
Stojący tutaj pod straszną potwarzą:
Jakom swej woli do praktyk ukośnych
Nie nagiął, ani do czynów bezecnych,
Jakom nie zmaczał rąk w przekupstwach sprośnych,
Na prawdę, w pośród wszystkich tu obecnych
Przysięgam!

(*Uroczysta chwila ciszy*).

Teraz przezacni panowie
Nie roztrząsając kto zażegł tę głownię,
— Boć każdy z panów braci ze mną powie,
Że obie strony parły za gwałtownie —
Puściwszy tedy z wiatrem owe waśnie,
W rycerskim duchów naszych animuszu
Podajmy sobie dłonie — jak ja właśnie,
Sługa Waszmościów! (*Nadstawia dłoń*).

GACYK (*chwyta ją skwapliwie*).
Panie Tadeuszu!
Zaiste, Waszmość umiesz sercem władać —
Niech cię uściskam! — Widzisz? łzy mam w oku. —

I nie wiem, jaki zły duch mógł tu gadać,
Że Waść masz cele brzydkie na widoku! —
Panowie bracia! podnoszę tu chętnie
Pana Rejtana chlubną myśl rozejmu
Stron poważnionych. — Baczmy tylko skrzętnie,
Aby nam korzyść była z tego sejmu,
Który już wkrótce rozpocznie narady;
A tego celu dopniem jak najprościej,
Na bok dziś wszystkie odłożywszy zwady
I wraz poddawszy się generalności
Konfederackiej. (*Do Rejtana*).
Zatem zgodnie! zgodnie!

REJTAN (*rzuca złośliwy wzrok na Gacyka*).
Ja przypominam teraz Waszmość panom,
Jaką na sejm ten ktoś gotuje zbrodnię —
A województwom naszym, naszym Stanom,
Wszakżeśmy całą duszą zaprzysięgli
Nieść pomoc ziemi tej biednej, szarpanej!
Kto tego nie czuł, ten ma serce z węgli!
Trupem jest, kogo ten kraj ukochany
Dziś nie rozczuli. — Dziś zwłaszcza panowie,
Miłości więcej trza i konsekwencji:
Ichmość zapewnie dobrze macie w głowie
Niecne knowania północnej potencji? —
Jakażby krzywda krajowi wyrosła
Z lekkomyślnego naszego wyboru!
Gdyby nas miłość własna dziś uniosła,
Zamiast zasłonić ten kraj od rozbioru
Zamierzonego, przybyliśmy owszem
W pomoc wszem krzywdom tej Rzeczpospolitej —
I zamiast ciepłem ją orzeźwić zdrowszem,
U nóg by naszych runął kraj dobity,
Na wieczną hańbę nam, pamięci naszej!
O, myśl ta sama podobna truciźnie!
Czyli Waszmościów myśl taka nie straszy:
Być winnym mordu na własnej Ojczyźnie?
W samem wspomnieniu takiem ileż bolu!?
A ktoż tu sprawcą? — Lekkomyślna pycha!
Bo ktoż z dumnego szczytu kapitolu
Orły zwycięzkich legionów w proch spycha? —
Takim był koniec Rzymu i Hellady,
Takim wspaniałych państw wybranej Judy;
Tysiączne w dziejach znajdujem przykłady
Jak to Opatrzność karze pyszne ludy:
I nam by dzisiaj przyszło — piramidę,
Co w narodowym stała majestacie
Przez tyle wieków — na wieczną ohydę
I na przekleństwo wieczne w naszej chacie,
Na lament grobów sławnych i na szlochy
Późnych pokoleń —

(*Płacz w tłumie*)

nam, nam, nieroztropnie
Pyszałkującym — ją, wraz z ojców prochy
Rozrzucić! — Chryste ratuj! —

(*Zostaje w niemej boleści czas cały*).

GŁOSY.
To okropnie!

II. SZLACHCIC.
Coż Waszmość radzisz począć, panie bracie?
Powiedz-że z łaski!

GŁOSY.
Prosimy! Mów, proszę!

GACYK (*wybuchający wściekłością*).
Hola! i Waszmość panowie słuchacie
Tych bzdurstw? Ej, taż to i ja coś wygłoszę:
I ja ubliżę, gdy się nam ubliża —

(*Ogólny gwar nie daje mu zapanować głosem*).

Hej! proszę tylko o słuch! — Rzecz ohydna!
Chcecie? przysięgnę — podajcie mi krzyża!
Przysięgnę —

I. SZLACHCIC (*porywa go za kołnierz i wlecze na bok sceny*).
Pęknij poczwaro bezwstydna!

GŁOSY (*do Rejtana*).
Radź-że nam Waszmość!

I. SZLACHCIC (*rzuca Gacykowi złoto pod nogi*).
Masz tu twoje, łotrze!
Zdrajco!

GACYK (*dziko do I. Szlachcica*).
Ej, proszę! tak się Waść rozczula?

(*Wchodzi Paż królewski i przystaje na widok sceny*).

PAŹ.
Ach, co to znaczy? — Kto tam z głosem dotrze?

GŁOSY (*do Rejtana*).
Mów-że nam! Radź-że ojcze!

PAŹ (*zbliża się do tłumu*).
W imię króla!

(*Tłum się rozstępuje — gwary cichną*).

GŁOSY.
Sza! sza!

GACYK (*znacząco*).
Od króla? — to ma swe znaczenie!

PAŹ (*z ukłonem*).
Wszem wobec, jako wszystkim się należy,
Królewskie Waszmość panom pozdrowienie!

GACYK.
O, o! słuchajcie! w tem już nacisk leży! —

REJTAN.
Słuchajmy, co nam król Jegomość głasza!

PAŹ.
Przez moje usta — co jest mi wesoło
Oświadczyć — król nasz Jegomość zaprasza
Całe prześwietne to poselskie koło:
Jaśnie Wielmożnych, Wielmożnych, łaskawe
Gremium Rycerskie — by jutro o zmierzchu
Raczyło jego zaszczycić zabawę. —
Czołem!

GACYK (*biorąc nagle głos*).
Cha, cha, cha! to piękne po wierzchu,
Lecz, że w tem djabeł śpi, ja panom ręczę!
Coż? — czyli Ichmość nic w tem nie dostrzegli?
Więc —

(*Chwyta za rękę Pazia chcącego się wydostać z ciżby*).

Racz pozwolić szanowny młodzieńcze!
O! ci panowie są bardzo przebiegli — —

PAŹ (*ociągając się*).
Na Boga! coż to Waszmość chcesz odemnie?

REJTAN.
Za gwałt spełniony na nim, sam król spyta!

GACYK.
Nic, jako żywo! A tylko przyjemnie
Byłoby wiedzieć nam: jak pospolita
Rzecz, ma się zbawić podług Jegomości
Króla? — a Waćpan wiesz to, boś wciąż przy nim —

PAŹ.
Taż to zadaniem jest Waszych Miłości
Pomyśleć nad tem —

GACYK.
My już to uczynim,
Lecz radzibyśmy mądre oświecenie
Słyszeć, naszego Mościwego pana —

PAŻ.

Ja miałem złożyć tylko zaproszenie,
A inna żadna moc nie jest mi dana —

GACYK.

Chcemy dać cały słuch królewskim radom!

PAŻ.

Mimo mej wielkiej dla Waściów estymy
Nie mogę służyć, gdyż nie jestem świadom —

GACYK.

Słowa, Mospanie!

GŁOSY.

Prosimy! prosimy!

GACYK.

Więc staw nam Waszmość podług swego zdania
Marszałka sejmu przyszłego —

PAŻ.

Rzecz inna!
Bez najmniejszego więc stawiam wahania
Osobę, która dziś wielce uczynna — —

GACYK.

No?

PAŻ.

Pan Raczyński — to mąż bardzo godny! —

GACYK.

Ha!

PAŻ.

Lecz to tylko mojem jest widzeniem.
Upadam!

GACYK (*ze zgrozą*).

Wiemy teraz, kto wyrodny!
Czy Waście jeszcze nie jęci struchleniem?

PAŻ (*odchodząc*).

Najjaśniejszemu panu donieść muszę
O tem co rychlej. — (*Odchodzi*).

GACYK (*z oburzeniem*).

Ten paź nam objaśnił
Gdzie się to brzydkie zapisują dusze!

REJTAN (*ostro do niego*).

Czybyś Waść może znów nas nie powaśnił?! —
Panowie-bracia! inną święćmy zgodę,
Nie tę, przez którą popaść można w zdradę —
Pójdźmyż tymczasem na naszą gospodę,
I wiedźmy dalej stateczną naradę. —
Proszę więc —

(*Kroczy do domu posłów — niektórzy idą za nim, inni wahają się*).

GACYK (*zastępuje drogę poddającym się Rejtanowi*).

Zwolna! — Czy Waszmość panowie
Chcecie być celem piekielnych igraszek?
Po tego pazia nieostrożnem słowie
Wiemy już wszystko! — Ten królewski ptaszek
Niby to w swojem imieniu postawił
Kogo? — jednego z królewskich pochlebców,
Któryby szlachty i tego pozbawił
Co dotąd mamy. — O, lecz nie na ślepców
Trafił Jegomość król z tym kandydatem!
My wiemy dobrze do czego to zmierza:
Pożal się Boże potem z „Panem-bratem“ —

GŁOSY.

Gwałtu! — On śmiałby?! —

REJTAN.

Babilońska wieża!

GACYK.

Bah, bah! ja Waściom coś więcej przypomnę,
Co już pan Rejtan dotknął mimochodem:
Jakie to wpływy dziś dzierżą ogromne,
Obce potencje nad naszym narodem!
A z kim pan poseł moskiewski przystaje
Więcej, niż z królem? Więc tedy pytanie:
Kto Raczyńskiego nam tutaj nadaje,
Czy król, czy ktoś tam? —

GŁOSY.

Do djabła, Mospanie,
Teraz rzecz jawna!
Precz tedy z hołotą!
Precz ze zdrajcami!

REJTAN (*z godnością*).

Mościwi panowie!
Najuroczyściej protestuję oto
Przeciw obrazie, pomazanej głowie
Zrządzonej! — Winnym sumienia nagana!

GŁOSY.

My się już znamy na tem! — Dobrze znamy!

GACYK.

Nie chciałem dotknąć tem pana Rejtana,
I rzekłem tylko: jeśli wybieramy
Sposoby sejmu, co ma być przedmurzem
Kraju, powinniśmy dobrze rozważyć:
Jakie za nami racje i korzyści? —
Kto tedy tutaj ważył się znieważyć
Konfederacki sejm, niech się oczyści!

REJTAN.

Więc ja Waszmościom odsłonię tu tajny
Powód, co wcale nie będzie zaletą
Konfederackich sejmów: sejm zwyczajny
Przypuszcza wolny głos *liberum veto*,
Konfederacki zaś go nie usłucha!
Oto, co pewni panowie chcą zużyć
By łatwiej za łeb pobrać wszego ducha —
Co niezburzonem było jeszcze, zburzyć!

(*Głosem rozpaczy*).

Ratujcie wy się! Co to próżne słowa,
Kiedy się czuje śmierć w ujęciu —

GACYK.

Cha, cha!
Jak się Waszmościom podoba ta mowa? —
Darmo nam, darmo stawiać w oczy stracha!
My wiemy, co się nam słusznie należy
I czego chcemy; a Jaśnie Wielmożny
Marszałek związku naszego, ubieży
Wszelki zmierzony na nas cios bezbożny.
Tak tedy, winniśmy rozważyć cnoty
Pana marszałka: bowiem on jest stróżem
Co nad naszemi ma czuwać klejnoty
I przywileje! — Co nam z próżnej dumy?
Więc pan Poniński, to człek! ten za brata!
Bo ilom szlachty chodził on już w kumy!
A właśnie teraz sam nawet mię swata —
Oto jest człek nasz!

GŁOSY.

Poniński marszałek!
Konfederacja! wiwat!

REJTAN.

Więc ruina!

(*Do Gacyka z wściekłością*).

Ha, z twoich bratku przewróconych białek
Poznałem zaraz jakaś ty gadzina! — (*Do tłumu*).
Konfederacji chcecie? chcecie piekła?
A Ponińskiego marszałkiem? szatana!
Chcecie by reszta krwi wam z serca zciekła,
Tej bladej?! Dobrze! dziej się wola Pana!

(*Bierze Gacyka za ramiona i mówi mu w oczy*).
Słuchaj! przewracaj ty sobie te bielma;
Ale przysięgam tu, że nie zezwolę
Aby mi w sejmie przewodził ten szelma,
Któremu „zdrajca" Bóg wyrył na czole —
Tak! —

GACYK (*wydziera mu się*).
Ej, panowie! strzeżmy się okrutnie
Ludzi, co mają opaczne dążności;
Którzyby chcieli przez gwałty i kłótnie
Przejść z swoją racją! — My owych Ichmości
Nie od dziś znamy z pewnej reputacji
I z nikczemnego jak piekło rzemiosła —
Kto po łbie barskiej dał konfederacji?
U moskiewskiego ich znajdziecie posła
Za drzwiami! — Jakoż ja nawet nie ręczę
Ktoby w rzemiośle owem zasmakował,
Bo wszędzie poczuć ich sieci pajęcze —
Broń Boże! bym tu czyją sławę psował
Z obecnych — jednak rzecz nadto wiadoma — —

GŁOSY.
Znamy tych panów! (*Dobywają szabel*).
Precz z nimi! aż na dno
Ciemnego piekła! —

REJTAN
(*zatkawszy sobie uszy, wybiega na przód sceny*).
Chryste! to Sodoma! —

(*Bójka; — tłum cały walcząc z hałasem, przechodzi w ulicę boczną i z czasem ucisza się*).

GACYK (*w tłumie*).
Niechaj z Rejtanem i z królem przepadną!

Scena V.

REJTAN (*sam*).
Zepsucie nie ma już względu ni granic,
A przepaść rośnie — i chłonie — i chwila
A będzie — straszno! — Na nic wszystko, na nic!
Bowiem Bóg żaden nam się nie nachyla
A całe piekło działa. — Człek nie starczył! —
Ziemio, snać jesteś bardzo nieszczęśliwą
I ktoś cię strasznem przekleństwem obarczył,
Jeśli ty swoją twarzą rozpaczliwą
Nie zdołasz zmiękczyć tych serc, któreś sławą
Uczyła tętnić! — (*Po chwili zamyślenia*).
To już ostateczność — —
Król mi na rękę z jutrzejszą zabawą:
Pomówię jeszcze z nim; swą niedorzeczność,
Przez którą tyle nam już złego zrządził,
Może też zechce najlichszym okupem
Naprawić! — Boże, ty mię będziesz sądził,
Żem chciał Ojczyznę zbawić, lub być trupem!

(*Odchodzi*).

Scena VI.

GACYK i sprzymierzeni z nim posłowie wracają do domu posłów; później występuje PONIŃSKI i służba jego z pochodniami.

GACYK.
Już przepłoszeni zdrajcy! — Ho, wyrodki,
Znamy was! — Pójdźmyż się teraz połączyć
W nasz węzeł, jako też obmyśleć środki
Konfederacji tej, i dzieło skończyć. — (*Odchodzą*).

Występuje PONIŃSKI z pachołkami niosącymi pochodnie.

PONIŃSKI.
Po takim gwarze, ta noc cicha zda się
Szydzić nam ludziom, a miesięczna misa
Skrzywiona, mówi do mnie: po niewczasie! (*Ze złością*).
Postępowanie mojego urwisa
Dręczy mię: — czemu on nie przybył jeszcze
Zdać sprawę? — Wiara moja coś osłabła
W konfederację tę i laskę. — Dreszcze
Mówią, że laska poszła już do djabła!

(*Gacyk występuje*).

Cóż? —

GACYK.
Sza! Pan Rejtan, poseł z Nowogródka,
Stawiał się wprawdzie jako tur zajadły,
Pobity jednak! — To relacja krótka.

PONIŃSKI.
Więc można uznać nasz akt za zapadły?

GACYK.
Tak, prawie. — Dzięki kanclerza pomocy
Młodziejowskiego i pana Marcina
Rzecz się ułoży dzisiaj do północy.
Właśnie spisują akt. Lecz i gadzina
Nie śpi — maleńki jest jeszcze orzeszek
Nam do zgryzenia: dla posłów zabawa
Jutro u króla; snać królewski mieszek
Chce podąć w żar ten... słowem, to zakrawa
Na małe głupstwo!

PONIŃSKI.
Co Waść mówisz? czyli
Król, myślisz, byłby im jawnie przychylny?

GACYK.
Sądzę — (*Z ukłonem*).
przed nami, że król się nie schyli —

PONIŃSKI.
Słuszna uwaga. Więc nasz pan bezsilny
Obmyślił przecie na nas jakąś łapkę!
Ej, co za pomysł! zabawa! i tany
Może? — Zagramy tedy w ślepą-babkę
Mój Najjaśniejszy panie malowany! —
I nie wiem przy kim zostanie wygrana,
Ale to czuję, że mam ograć błazna!

(*Chodzi w zamyśleniu po scenie*).

GACYK (*postępuje za nim krok w krok*).
Wszak to jest rzecz dziś powszechnie uznana,
Że gdyby ręka ujęła żelazna
Waszej Miłości — —

PONIŃSKI (*przystaje jak rażony*).
Człowiecze! tyś skończył,
Na czem myśl moja stawała, trwożliwa
Przepaści, którąbym trudno połączył
Z zimną rozwagą. Ta myśl mię wyzywa,
Chociaż ją płoszę i cofam się przed nią. —

(*Urywa nagle*).

Sza! — A nagrodę weźmiesz za twe chęci.

GACYK (*z ukłonem*).
Osobę Jaśnie-pana, arcyprzednią,
Znamy — i da Bóg! — król karku nakręci — —

PONIŃSKI.
Dość! — Inna teraz chwieje się robota:
Wszak mój dziś tryumf to szczebel w drabinie
Na szczycie której jest korona złota —
A coś mię lęka. — Rozumiesz? — Radź ninie!

GACYK.
Hym, podług mego widzenia, należy
Pozbyć się głowy co nam w drodze stoi —
Głową pan Rejtan — do kroćset moździerzy!

Najbardziej z wszystkich on mię niepokoi —
Reszta to same potulne szlachcice.

PONIŃSKI.

Coż Waść z nim poczniesz? Radbym bardzo wiedzieć:
Co Waść z nim poczniesz?

GACYK.

Zaraz — myśl pochwycę —

(*Po chwili*).

Mam!

PONIŃSKI.

Więc?

GACYK.

Pan Rejtan musi gdzieś przesiedzieć
Mimo swej woli przez sejmu czas cały —
A że pałacu na to nie masz: — w kozie.
Rezydent da nam wojska oddział mały,
Więc porwiem ptaszka i w krytym powozie
Odwieziem pędem do jakiego schowku.

PONIŃSKI (*radośnie*).

Myśl doskonała!

GACYK (*ukartowując*).

Królewska zabawa
Potrwa w noc późną — jutro miesiąc w nowku —
Pójdzie! — i nawet rzecz nie będzie krwawa.

PONIŃSKI.

Tak, dobrze! Aby wyminąć podejrzeń,
Przybędę jutro na wieczór do króla. —
Ty bacz na wszystko pilnie: z słów i z wejrzeń
I z ruchów, można wnosić, jaka kula
Leje się na nas. — Rozumiesz Waść?

GACYK.

Basta!
Niech się Pan Jasny cale na mnie spuści.

PONIŃSKI (*wahając się*).

Lecz to porwanie wśród ludnego miasta...

GACYK.

A choćby nawet z piekielnej czeluści! —

PONIŃSKI (*stanowczo*).

Do moskiewskiego śpieszę rezydenta
Zapewnić pomoc jutrzejszej aferze —
Niechże Waść dobrze o wszystkiem pamięta,
Bo ja ci mówię, że jeszcze nie wierzę
W to marszałkowstwo — coś mi tu źle szepcze. —

(*Po chwili*).

Jakie jest miano owego filistra?

GACYK.

Rejtan, do usług.

PONIŃSKI.

Ha, on go rozdepcze! —

(*Do służby*).

Hej! do pałacu carskiego ministra.
Żywo! —

(*Służba szykuje się do odejścia*).

GACYK (*zachodzi drogę Ponińskiemu*).

Ha — jeszcze — z przeproszeniem pana —
Radbym, byś Jasny mi wielce łaskawy
Visum repertum zdjął ze mnie — (*Odsłania rękaw*).

Ot rana,
Którą przynoszę z ostatniej rozprawy,
A którą bardzo i bardzo się szczycę,
Iż z pańskiej sprawy jest — lecz po krwi stracie...

PONIŃSKI.

Ja cię dziurawy worze nie nasycę —

(*Rzuca mu sakiewkę*).

Za krew, jak twoja podlą, panie-bracie,
Wystarczy! (*Odchodzi ze służbą*).

Scena VII.

GACYK (*sam — przeliczając złoto*).

Zaraz się dowiem mój panie,
Czyli wystarczy! — (*Z furją*).

Dwadzieścia sztuk w saku?! —
Za krwi szlacheckiej obfite rozlanie
Tak to się płaci? — Ha djable! pijaku!
Tobie królestwo, a mnie z kart pałacyk? —
Złodzieju! czekaj! — Nazywam się Gacyk!

Koniec aktu pierwszego.

Akt II.

(*Sala w zamku królewskim*).

Scena I.

Występują: z drzwi z lewej KRÓL z MŁODZIEJOWSKIM; PAŹ u drzwi w głębi.

MŁODZIEJOWSKI.

Krzywdzą nas panie te mniemane cele!
Świadczym się Bogiem, że li miłość kraju
W konfederację wiąże nas! Toż w dziele
Widać, ze staje po wszelkim zwyczaju
Uczciwym.

KRÓL.

Rzecz ta w czasie się wyświeci. —
Co do nas: trudno zaiste zejść w sprawę,
Która, choć piękną jest w ustach Waszeci,
To jednak rodzi nie próżną obawę
Z dziwnych popędów swych —

MŁODZIEJOWSKI.

I jakąż przecie
Pan mój upatrzył zamiarów wątpliwość
Konfederacji tej?

KRÓL (*niecierpliwy*).

Czyńcie co chcecie,
Tylko na naszą nie liczcie życzliwość! —
Rzec by się dało tutaj bardzo wiele
O niej — a zresztą widzi kto ma oczy,
Konfederacji Waszej, jakie cele — (*zapala się*).
Czyli też z czasem i tron nie przeskoczy
Ta wielożądna?!

(*Młodziejowski chce usprawiedliwić*).

Waść też nie przekona
Podłożonemi chęci — więc daremnie!
Konfederacji nie znamy. — Skończona.

MŁODZIEJOWSKI (*wypraszając się*).

Niech więc odniosę, panie — —

(*Król daje znak pożegnania — Młodziejowski odchodzi*).

Scena II.

KRÓL, PAŹ.

KRÓL.

To nikczemnie! —
Co? możebyście zechcieli z osoby
Królewskiej, zrobić ofiarnego kozła?
Pana Adama w napadzie choroby

Majestatowej, na tron może wiozła
Myśl piorunowa? — Ej, zwolna obłudny!
Do czasu tylko będę ja spokojny —

(*Po chwili*).

O, panowanie trudne! czasie trudny!

(*Do Pazia*).

I cóż nowego o posłach?

PAŹ.

Do wojny
Zbroją się —

KRÓL.

Groźne te zatargi między
Ichmość posłami, ranią moje serce!
Snać ci panowie nie myślą o nędzy
Biednego kraju, gdy w bratniej rozterce
Chcą osobistym pretensjom mieć pole.
Na Boga! gdzież to Ichmość chcą ugodzić?
Dziś, gdy być winna Ojczyzna na czole,
O widzimisię takie harce zwodzić?
A! to mię cierpką napawa goryczą!
Cóż to powiedzą ci, co zaufanie
W nich położyli i na sejm ten liczą?
Kraj, co chce z sejmu mieć straż i wytrwanie:
Ten kraj, znękany wszelakiemi klęski,
Przez wojny straszne, głód, wielką chorobę,
Co powie? — Jeszcze każdy człek nie męzki,
W dodatku moją obwini osobę
Za nierozmyślne tych panów wybryki? —

(*Zapalając się*).

Na moją głowę ciężkie gromy spadną,
Bo nigdy nie śpią złośliwe języki
Które mi rade cześć poczciwą kradną! —

(*Z boleścią*).

O, to mi serce okropnie rozrania,
A jeśli Ichmość dłużej tak dokuczą,
To niech koronę biorą! Ktoż się wzbrania?
Może też kiedyś przecież się nauczą
Czci majestatu, gdy obce potencje
Dadzą im pana? poznają też może,
Że przez haniebne takie wiolencje
Nie zbawią kraju. — Ciężko, ciężko Boże,
Gniecie korona ta!

PAŹ.

Z żałobną duszą
Słucham słów twoich, Miłościwy panie!
Nieszczęścia takie do głębi poruszą,
A oczom zbiera się na rozpłakanie,
Patrzącym na te okropne bezprawia
I czyny, bardzo niegodne szlachetnych
Synów tej ziemi.

KRÓL.

Pycha, pycha pawia
Owładła serca! — A jednak z cnót świetnych,
Jaką jest miłość Ojczyzny, nie wszyscy
Jeszcze wyzuli się: i słyszę właśnie
Od takich, którzy sprawie byli blizcy,
Że tam starania były, by te waśnie
Zagodzić. Nawet protest był tam śmiały,
Rzeczony przeciw obrazie nikczemnej,
Mojej osoby —

PAŹ.

Zacności nie małej
Wyrzekł go poseł — Rejtan.

KRÓL.

Więc przyjemny
Będzie mi mąż ten, gdyby tylko raczył
Przyjść na dzisiejszą wieczorną zabawę.
Kto by go tutaj przypadkiem zobaczył,
Niech mi doniesie, bym mu rzekł łaskawe
Słowo królewskie, jak na to zasłużył.

PAŹ.

Sprawię się pilnie.

KRÓL (*poziewając*).

Ach, ach, moja głowa! —

(*Patrzy na zegarek*).

Dzień mi dzisiejszy strasznie się przydłużył:
Dopiero szósta. — (*Do siebie*).
Wnet Generałowa
Nadjedzie... Dobrze! (*Nudzi się*).
A! dalipan wierzę,
Że pod niebytność moją, dziś — wyjątkiem —
Wszystkie się basy rozpłaczą w operze!

(*Silniej z nieukontentowaniem*).

Radbym się takim osłonić zakątkiem,
Żeby zupełnie zapomniano o mnie!
Męka. — (*Po chwili do Pazia*).
A propos: czym Waści już pytał
O to, z czemś chodził tak pilnie?

(*Paź z ukłonem podaje kwiat stojący na stole*).

KRÓL (*z uciechą przypatruje się*).

„Niezłomnie
Wierna!“...

PAŹ.

Odpowiedź —

KRÓL (*do siebie*).

O! ja będę czytał
Odpowiedź w oczach twych: ten symbol lichy
Nigdy mi nie da taką, jak twe oczy!

(*Po chwili gniewnie*).

Poniński! O ten zdrajca pełen pychy!
Popatrzym sobie dzisiaj oczy w oczy,
A coś mię djablo do spotkania kusi
Z Waścią, bezecny! Ta twoja obłuda
Może dziś weźmie w łeb... (*Po chwili*).
Pomysł Elżusi
Dobry, zabawa ta! — (*Po chwili*).
Może się uda? —

(*Usiada, po chwili do Pazia*).

Cożeś Waść wskórał dzisiaj u Krajczyny?
Jeślim nie pytał —

PAŹ.

Odpowiedź pisemną
Złożyłem Waszej Miłości —

KRÓL.

Tak. — (*Do siebie*).
Drwiny,
I zawsze drwiny! — Czyż chciałaby ze mną — —

(*Zrywa się przypominając*).

Ach, zapominam wśród takich kłopotów
Mojej roboty! Ja tu w myśli leżę,
A ten tam portret na dziś miał być gotów! —
Serdeczną, sądzę, zrobię nim siurpryzę —
Wojewodziny, a naszej kuzynki
Portret. Trza będzie pochlebić kobiecie —

(*Do Pazia*).

Czyś Waść mi natarł już czerwonej glinki?

PAŹ.

Już Miłościwy panie. W gabinecie.

(*Król odchodzi w drzwi lewe*). (C. d. n.)

ŚWIAT CUDÓW.

BAJKA

nie z „Tysiąca i jednej nocy".

(Ciąg dalszy).

Na dwie świata strony polecieli Strzyg i Leśna, by odszukać Cienia, uprowadzonego przez Wodnicę.

A Cień spał smacznie w swym czarodziejskim pałacu, i różne śniły mu się dziwa... żadne zaś nie było podobnem do tych, które ujrzał po swem przebudzeniu się. Ocknął się Cień przerażony widzeniem, że znowu jest we wsi rodzinnej celem ogólnego pośmiewiska i wypędzony wraz z starą wróżbitą... Z nie małem też zadowoleniem przekonał się, że nie we wsi, ale jest w pałacu. A jakim pałacu!

Spał w przepysznie umeblowanej komnacie, ozdobnej w dzieła sztuki i bogactwo niepoślednie. Przez kryształowe szyby okien wpadały promienie słońca kąpiąc się brylantowemi pryskami w przejrzystej fontannie; rozmaite ptactwo śpiewem swym biegło w zawody z czarowną muzyką, której dźwięki ważyły się na powiewnej fali powietrznej; woń kadzideł mięszała się z zapachem kwiatów upajających zmysły swą barwą... Tak było pięknie w komnacie, w której się Cień znajdował, że przebyć w niej wieczność całą zdawało się dlań szczęściem najwyższem! Po tysiąc razy oglądał wszystko, dotykał każdej rzeczy, poił swe zmysły roskoszą, i nie przestawał błogosławić rusałce, która go uczyniła panem tych wszystkich cudów.

Pokazało się jednak bardzo prędko, że jakkolwiek piękna komnata, w której się Cień znajdował i to wszystko czem była strojna — nie miała jednak w sobie dość treści, zdolnej na zawsze zająć umysł choćby i wiejskiego chłopaka, jakim był protegowany rusałek. Cień zapragnął ujrzeć coś więcej jeszcze... Szczęściem posiadłość jego nie była ograniczoną do jednej tylko komnaty, ale za nią następował długi szereg innych pokojów, sal, krużganków, mieszczących zapewne nie mniej ciekawe rzeczy od tych, które były zebrane w komnacie sypialnej.

Nie bez wewnętrznego drzenia, który zwykł towarzyszyć ciekawości mającej być zaspokojoną, Cień wybrał się na oględziny swego pałacu. Przeszedł długi szereg wspaniałych komnat, rząd kurytarzów, mnogie sale... Wszystko było zdumiewająco pięknem, a świeciło od złota i drogich kamieni! Wszędzie niewidzialna ręka utrzymywała porządek wzorowy, jakiś duch dobry zgadywał myśli, uprzedzał życzenia przypadkowego właściciela cudów nagromadzonych w czarodziejskim pałacu.

Napatrzywszy się dosyta na piękne rzeczy znajdujące się w pałacu, który, zdawało się, nie miał końca i początku, Cień wspaniałemi drzwiami, które same przed nim się otwarły, przeszedł do ogrodu.

Najbardziej bujna fantazja nie zdoła, bodaj w części, opisać tego, co się tu znajdowało, hojną rosypane ręką. Kwiaty różnych stref wspaniale przyozdabiając ogród nęciły swą barwą i wonią; drzewa jedne koronami opierały się w nieba lazury, inne stanowiły przejście do kwiatów. Rwiące rzeki i ciche strumienie, kaskady i wodotryski, olbrzymie góry i wielkie doliny, groty, tunele, mostki wiszące, umiejętnie między skały rzucone, ruiny zamków, domki pustelnicze — wszystko tu miałeś. Cień był w upojeniu! i po dobrej dopiero chwili zauważał, że jednej rzeczy nie widział dwa razy: ukazawszy się jego oczom wnet znikała, ustępując miejsca innej, piękniejszej. Na wyraźne tylko żądanie Cienia widziany przedmiot ukazywał mu się ponownie, i znowu niknął zastąpiony przez inne przedmioty, dotąd nieznane wiejskiemu chłopięciu.

Cień był szczęśliwym. Widząc się panem tego, co zmysły ogarniał, pewny, że każde jego życzenie znajdzie posłuch i natychmiast wypełnionem zostanie — czuł się, i słusznie, najpotężniejszym, i szczęśliwym nad zasługi, nad najśmielsze pragnienie swoje. Oddychał roskoszą, gubił się w zachwycie, tonął w upojeniu... Za wielka była różnica pomiędzy Cieniem, ubogim chłopcem wiejskim, a posiadaczem zaczarowanego pałacu, by nie miał zapomnieć o wszystkiem wśród zachwytu, nie zgubić dni rachubę, zapomnieć o wszystkiem wśród szczęścia!

Ale natura człowieka jest dziwną. Nic go długo interesować nie może; żądza wrażeń nowych tak w nim jest wielką, że nie zawaha się wszystkiego jej poświęcić. Cienia przestało interesować to, na co patrzał, a co się działo przepisanym rzeczy porządkiem. Natura ludzka ozwała się w nim z całą swą potęgą ujemną — Cień zapragnął dziwów, rzeczy wybiegających po za kres porządku, zwykłego ładu. Posłuszne jego żądaniu, dziwa jedne za drugiemi zjawjać się poczęły. Z kwiatów potworzyły się lasy, z tych rozsrożone źwierzęta; z dzikich bestyj masz głębokie wody; z wód powstają miasta i pałace; z murów masz wysokie fontanny, które do chmur sięgając, stają się twardym granitem, a trącone lekkiem powiewem wiatru rospryskują się perłami, z tych formują się góry i ptakiem ulatując ku niebu świecą tam zorzą poranną i spadają na ziemię ognistym deszczem, który natychmiast zamienia się w morze niezapominajek... Ziemia staje się błękitnym stropem, a firmament zamiast w planety zdobi się w wieńce róż i lilij; ziarnko piasku rośnie do wysokości góry, góra wydaje z siebie głos czarowny i rozpływa się pieśnią...

Wśród tych przemian dziwnych i przeistoczeń na które patrzy, umysł Cienia zostaje pod wrażeniem nieświadomego siebie podziwu... jest wtrąconym w jakąś otchłań, w której Cień ani siebie, ani tego na co patrzy zrozumieć nie zdoła. Będąc świadkiem owego dramatu kaprysu odegrywającego się przed oczyma, Cień w zapomnieniu przebywa godziny, dnie, gubi rachunek czasu... aż z tego stanu rozgorączkowania ponownie wyrywa go rozczarowanie: rodzi się w nim niesmak... kaprysem karmiona chęć wypacza się do nowych pragnień, których gdy określić nie umie, instynktowo dochodzi do żądzy: poplątania wszech rzeczy, zniszczenia ładu i wszelkiego porządku... Cień pragnie chaosu! — i ma go przed sobą. Widzi światy, mocy i potęgi, śmierć i życie razem, rzeczywistość z ułudą poplątane, zgmatwane z sobą, przepadające w próżni wszystko pochłaniającej...

Wśród tej przepadłości i niszczenia wszechrzeczy, Cień czując się być nieporuszalnym punktem, czemś nie biorącem udziału w ogólnym zamęcie i porządków rozstroju, niemą przejęty grozą i wytłumaczonem zapomnieniem, ponownie traci świadomość własnego bytu; nie wie jak długo

przebywa w tej szalonej ducha gorączce... i mocna wola tylko wydobywa go z odmętu. Zapragnął spokoju, ciszy, i znowu wszystko powraca do dawniejszego porządku.

Jakże pięknym wydał mu się świat, przed chwilą ginący w odmętach ogólnego rozstroju! Pierś oddycha szeroko, serce raźniej uderza. Młodzian czuje, że mądrzej jest jak jest, aniżeli jakby on mieć wszystko pragnął. Znęczony dobrowolną walką na którą się skazał, Cień całą potęgą swego istnienia zapragnął pokoju... i znajduje go nareszcie w śnie pokrzepiającym, który mu przywraca siły, dodaje hartu i rześkości.

Sen był twardym i trwał długo, tak długo, że Cień ani przypuścić może, by w stanie był kiedykolwiek przespać taką chwilę. Ale w krainie dziwów, cuda napotykają się co krok. Cud też i tym razem miał miejsce.

Po przebudzeniu Cień czuje, że stał się innym, nie tym jakim był dawniej. Przebył dzieciństwa gorączki, szał młodzieńczości, stał się poważniejszym w sądach, bardziej trzeźwym w zapatrywaniu się — jest już mężem. Wszystko co przebył zdaje mu się snem tylko, a rad jest, że nastąpiło przebudzenie do życia czynnego.

Spokojne wody jeziora, nad któremi stanął, pozwoliły mu dojrzeć przemiany: zmężniał, wypiękniał, sił mu przybyło — i czuł się zadowolonym z siebie jak dotąd nigdy.

Mąż — zrozumiał Cień, że nie dziwów i cudów, ale potrzeba mu rzeczy ludzkich: działania, czynu; a głównie potrzeba mu — ludzi. Pojął, że dziwactwa i niesmak dotychczasowy, które go trapiły mają swe źródło w samotności, w braku obcowania z ludźmi; zapragnął więc towarzystwa, i wezwał niewidzialne potęgi woli, jego posłuszne, by go wprowadzono w świat codziennej rzeczywistości. W czas jednak przyszło mu na myśl, że za obręb czarownego pałacu wydostać się nie może; a z niepodobieństwem walczyć nie chcąc, zażądał, by jego posiadłość została zaludnioną ludźmi, którzy by mu się podobać mogli.

Raz skład siłą woli... powtórzył zaklęcie — odpowiedzi nie było. Na zaklęcie trzecie, od poprzednich silniejsze, odpowiedział mu głos tajemniczy, że woli jego zadość się nie stanie.

Była to pierwsza odmowa, z którą się Cień spotkał w zaczarowanej swej posiadłości. Zdziwiła go i zmartwiła bardzo; ale nie chcąc pozostawiać rzeczy nie wyjaśnionemi, wdał się w rozmowę z istotą niewidzialną.

C i e ń. Głosie niewidzialny! odpowiedz: dlaczego żądanie moje nie jest spełnionem, skoro miałem mieć wszystko cokolwiek zapragnę, z wyjątkiem wyjścia poza obręb pałacu zaczarowanego?

G ł o s. Miałeś mieć wszystko.

C i e ń. Jakto? m i a ł e m... Czyliż teraz będzie mi to odjętem?

G ł o s. Tak jest.

C i e ń. Z jakich powodów?

G ł o s. Bo cię odeszła siła opiekuńcza.

C i e ń. Nie rozumiem...

G ł o s. Odeszła cię rusałka Wodnica.

C i e ń. A cóż się z nią stało?

G ł o s. W walce zwyciężona przez Leśnę, została uwięziona.

C i e n. Gdzie i przez kogo?

G ł o s. W ziemi wnętrzu, przez Ognitę, straszliwego króla wulkanów.

C i e ń. A więc pośpieszę na jej ratunek.

G ł o s. Nie wolno ci wyjść z zaczarowanego pałacu, i musisz w nim przebywać s a m o t n y. Taka jest wola władnącej potęgi. Żegnaj!

Tajemniczy głos zamilkł, pozostawiając Cienia zmartwionego wieścią o uwięzieniu swej dobrodziejki; a głównie podobno, że został skazanym na wieczystą samotność, która stała się dlań nieznośną. Myśl, że nie ujrzy twarzy, nie usłyszy głosu ludzkiego, przyprawiała go o rospacz; i nie zważając na żadne trudności, postanowił on wydostać się na wolność, zwiedzić chociażby najstraszliwsze wnętrza ziemi, i uwolnić Wodnicę z więzów potężnego Ognity. Siły potrzebne do walki czuł w sobie, przygód pragnął, niebezpieczeństw nie lękał się.

— Muszę wydostać się z pałacu! — zawołał, i zaczął myśleć nad sposobami uwolnienia siebie i Wodnicy, której dobrodziejstw był pomny.

Chciał najpierw przekonać się: czy nie znajdzie drogi do wyjścia z pałacu?... Niepodobieństwo! pałac początku i końca nie miał. Cień poświęcił parę tygodni na wędrówkę po komnatach i krużgankach pałacu — jednak po za mury wyść nie mógł. Tak samo rzecz się miała z ogrodem... i ten był niezmierzony, bez końca!

Pozycja Cienia była okropną! Ale mąż nie zwykł poddawać się rospaczy; w przeciwnościach nabiera on nowego hartu i siły.

Przekonawszy się, że własna moc i potęga nie wystarczą do wydobycia się acz z roskosznego więzienia, Cień oglądnął się za inną siłą, która by mu pomocną być mogła. Wzywał więc tajemniczego głosu, by go wsparł swoją potęgą... Nie przydało się to jednak na wiele; głos ani sam pomocy nie przyrzekał, ani robił nadziei, że kto, lub cokolwiek pomódz Cieniowi zdoła.

— Jesteś dobrowolnym więźniem — mówił do zmartwionego. — Sam skazałeś się na zamknięcie w pałacu, z którego też wyjść nie zdołasz.

— Nigdy?

— Nigdy!

— Do pioruna! — wykrzyknął Cień gniewny. — Prawdą jest, że dobrowolnie wlazłem do tej klatki, że zgodziłem się na wszystko... ale wówczas byłem dzieckiem, nie pojmującem znaczenia wolności!... A zresztą: moja opiekunka jest w niebespieczeństwie — ja bronić ją muszę!

— Na nic ci się to nie przyda. Nie wyjdziesz z pałacu.

Okropność! Zawsze i zawsze na jednem miejscu... nie widzieć świata i ludzi... nie znać wcale życia... Nie! to niepodobna!...

Tymczasem upływały dnie za dniami, tygodnie, miesiące — w nieczynności. Cień zwątpił w możebność opuszczenia pałacu, który stał mu się bardziej nieznośnym, aniżeli licha lepianka w jakiej przebywał pasąc trzody wiejskie. Na niczem mu nie zbywało, miał czego zapragnął; ale że był niewolnikiem — wszystko uważał za nic! i chętnie przemieniałby roskosze za trudy i mozoły życia swobodnego. Stopniowo, powoli oswajając się z myślą o swej niewoli wieczystej, przestał się interesować wszyst-

kiem, na wszystko zobojętniał. Nie zachwycało go piękno, nie interesowały cuda i dziwy; wrażeń doznawać przestał; na wszystko miał tylko za odpowiedź — tęskne westchnienie.

Razu pewnego, gdy zapuściwszy się w okolicę bardziej oddaloną od pałacu, przechodził szeroką równinę, szczególnym jakimś trafem zwrócił Cień uwagę na dziwowisko, którego przed tem nie widział. Na równinie, którą przechodził ujrzał on dwie walczące ze sobą góry, z których większa, a więc silniejsza, z gwałtownością wpadając na słabszą — rozbijała ją na miazgi. Góra zwyciężona natychmiast zcalała się z proszynek, rosła do pierwotnej wysokości, i ponownie występowała do nierównej walki, by uledz nowemu zniszczeniu.

Cienia zainteresował ten widok. Stanął, by się walce przypatrzeć. Widział tedy jak góry rozsrożone, buchające wyziewami ognia, zwolna zbliżały się ku sobie, jak następnie, bieg przyśpieszywszy, z wściekłością nieopisaną rzuciły się na siebie i jęły szarpać... Lecz w chwili gdy góra silniejsza, w tył odskoczywszy, miała wpaść na słabszą i rozgnieść na miazgi — Cień ulitował się nad zwyciężoną, i potęgą woli pochwyciwszy płynącą rzekę, cisnął ją w otwartą paszczę krateru i ogień przygasił. Ze zmieszania olbrzyma-góry skorzystawszy zwyciężany dotychczas zapaśnik, wpadł śmiało na jej karki, uderzył z tak wielką siłą, że olbrzym prysnął, rosypawszy się piaskiem na przestrzeni mogącej się zdawać nieświadomemu: dnem morza, które ustąpiło.

Ale jakież było zdziwienie Cienia, gdy i druga góra znikła, a on u nóg swych ujrzał klęczącego rycerza, któren nie był większym od wskazującego palca. Okrywał go hartowny pancerz, przyłbica była podniesioną, na hełmie powiewały pióra.

Klęczący rycerz, składając u nóg Cienia swój miecz okrwawiony — mówił głosem rozrzewnionym:

— Potężny mój wybawco! przyjm hołd, który ci składam, jako podziękę za wyrwanie mię z mocy olbrzyma.

Cień był tak mocno zdziwiony zjawiskiem, a bardziej jeszcze głosem ludzkim, który wychodził z malutkiej figurki rycerza, że przez chwilę nie był wstanie przemówić do klęczącego. Opamiętawszy się jednak po chwili odpowiedział nie mniej uroczyście:

— Nieznany mi rycerzu! Zaszczytem było by dla mnie nie małym zasłużyć na wdzięczność tak mężnego wojownika; lecz nie wiem: kiedy i w czem mogłem ci być pomocnym?

— Przed chwilą uratowałeś mię, zwyciężywszy olbrzyma-górę wpierw, nim zdołałem ohydne jego serce przeszyć mym hartownym mieczem.

— A więc to ty byłeś ową walczącą górą, której niechcący przyszedłem z pomocą?...

— Tak jest, szlachetny panie. Widzisz we mnie rycerza Trata, niegdyś potężnego króla g n o m ó w, sprzymierzonego z dzielnem państwem ludu-duchów ś w i e t l i k ó w, któren ohydną zdradą został oddany w moc nieprzyjaznych potęg, i wieczystą cierpiałby mękę, gdyby nie twoja pomoc, która z rycerza i króla czyni mię twym sługą i niewolnikiem. Rozrządzaj mną i moją szpadą!

— Dzielny rycerzu Tracie i królu gnomów — odpowiedział Cień na przemowę. — Powstań, i nie sługą lecz bądź mi bratem... Witaj!

— Szlachetny mój wybawco! — zawołał Trat rozczulony — powstając z kolan. — Podnieś mię, bym cię mógł uściskać.

Cień podniósł rycerza, któren oburącz szyję jego objąwszy pocałował ją trzykrotnie, a stanąwszy na dłoni nowego swego brata rzekł:

— Widzę, że niezupełnie jeszcze opuściła mię moc dawniejsza, bo oto wiem kim jesteś i czego ci potrzeba? Zanim wyruszę z tobą na długie boje z tyranami, muszę ci pokrótce opowiedzieć me dzieje.

Po ojcu objąwszy gnomów królestwo i sprzymierzywszy się z ludem świetlików wypowiedziałem wojnę królowi wirów wodnych i zdradnych przepaści Trakacie, którego zwyciężywszy, zabrałem z jego pałacu nigdy nie zapomnianą Talis, wieczystą boginię mojego serca, z którą wstąpiłem w związki małżeńskie. Ach, za spojrzenie tej boskiej niewiasty oddałbym cztery królestwa, świat cały za skromny uśmiech jej koralowych ustek!... Ubóstwiałem ją i mniemam: cieszyłem się jej wzajemnością — mam nawet dowody na to... Ale szatański Trakata pozazdrościł mi szczęścia, i mszcząc się poruszył na mnie Ognitę króla wulkanów i z nim wespół wypowiedział mi wojnę.

Zwyciężyłem Trakatę, pobiłem wojsko Ognity; lecz zdrada wydała mię w moc moich wrogów. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA POLSKA

podawana przez księgarnię Gubrynowicza i Schmidta

we Lwowie.

Bolesławita, B. Hybrydy. Powieść współczesna. 8wo (227 str.). Lwów 1869 . . . . . 2 zł. 40 ct.

Caballero, Fernan. Rodzina Alvareda. Nowella hiszpańska przełożona przez Wł. Miłkowskiego. 8wo (95 str.). Warszawa 1868 . . . . 1 „ 45 „

Chotomski, Bolesław Prawdzic. Rzecz o Towarzystwach zabezpieczeń od ognia i zabezpieczenia bytu. 8wo (28 str.). Toruń 1868 . . . . — „ 60 „

Giller, Agaton. Polska w walce. Zbiór wspomnień i pamiętników z dziejów naszego wyjarzmienia. 8wo (293 str.). Paryż 1868 . . . . 3 „ — „

Górski, Ludwik. O metodach taksy dóbr ziemskich w Towarzystwach kredytowych pruskich. 8wo (29 str.). Warszawa 1868 . . . . . — „ 37 „

Houssaye, Arsén. Miłość zabijająca czyli Rafaella. Tłumaczył Tadeusz C. 16ka (80 str). Warszawa 1868 . — „ 27 „

Kopeć, J. (brygadjer wojsk polskich z czasów Kościuszkowskich). Dziennik z rozmaitych notat dorywczych sporządzony z 6ciu tablicami litografowanemi i mapą Kamczatki, wydanie drugie tanie. 8wo (263 str.). Lwów 1868 . . . . 1 „ 80 „

Koźmian, A. E. Rok 1846. Dramat w 5ciu aktach wierszem 16ka (124 str.). Poznań 1868 . . . 1 „ 80 „

Kulczkowski, A. Zarys dziejów literatury polskiej na podstawie badań najnowszych pracowników dla użytku szkolnego nakreślony. Część I. (do początku wieku XIX.). 8wo (208 str.). Lwów 1868. Cena za całe dzieło . . . . . 1 „ 60 „

Lebrun, Tomasz. Komedje prozą i wierszem. 8wo (235 str.). Warszawa 1868 . . . . . 1 „ 82 „

Levittoux, H. Kilka słów w obronie nauki i prawdy z powodu odczytów publicznych p. Kuczyńskiego, homeopaty. 8wo (16 str.). Warszawa 1868 . — zł. 27 ct.

Mayersohn, Malwina. Dawid. Obrazek z życia żydów tegoczesnych. 16ka (132 str.). Warszawa 1868 . — „ 59 „

Mićkiewicz, Adam. Pierwsze wieki historji polskiej. Dzieło pośmiertne. 8wo. (Przedmowa, XVIII. i 118 str.). Paryż 1868 . . . . . 1 „ 50 „

Mojżesz i żydzi. Rozprawa, 8wo (163 str.). Berlin . . — „ 64 „

O zaprowadzeniu ksiąg hipotecznych dla posiadłości włościańskich i o reformie istniejącego systemu hipotecznego przez M.S. 8wo (74 str.). Lwów 1868 — „ 50 „

Pamiątka obchodu pięćdziesiątej rocznicy zawiązania Towarzystwa naukowego krakowskiego. 8wo (80 str.). Kraków 1868 . . . . . . — „ 50 „

Przezdziecki, Aleks. Jagiellonki polskie w XVI. wieku. 8wo. Kraków 1868. Tom I. (XII. i 398 str.). Tom II. (303 str.) i wizerunki fotografowane wraz z przedpłatą na Tom III. i IV. . . . 18 „ — „

Raupach, E. Robert djabeł. Dramat przełożony na język polski przez J. Gorczyńskiego. 8wo (VIII. i 168 str.). Warszawa 1867 . . . . . 1 „ 35 „

Rzążewski, Adam. Jan Gundulicz i poemat jego „Osman.“ 8wo (26 str.). Warszawa 1868 . . . — „ 39 „

Stachurski, Paulin. Trójka. Powieść. 2 Tomy (I. 214, II. 258 str.). 8wo. Lwów 1868 . . . 2 „ 40 „

Szczepański, Alfred. Artur Grottger. Ustęp z dziejów sztuki polskiej. 16ka (67 str.). Kraków 1868 . . — „ 50 „

Walewski, Antoni. Historja wyzwolenia Polski za panowania Jana Kaźmierza (1655—60). 2 Tomy (I. 356 i XXXII. — II. 326 i LXXII. str.). 8wo Kraków 1866 i 1868 . . . . . 6 „ — „

Widmann, Karol. Józef Korzeniowski. Studjum literackie. 8wo (181 str.). Lwów 1868 . . . . . 1 „ — „

Wieczory pod lipą czyli historja narodu polskiego, opowiedziana przez Grzegorza z pod Racławic. (Wydanie znacznie powiększone i 45 rycinami ozdobione. 8wo (482 str. i tablica chronologiczna). Kraków 1868 . . . . . 2 „ — „

Wizja poselska. 16ka (28 str.). Lwów 1868 . . . . — „ 20 „

Wodzicki Kaz. Zapiski ornitologiczne. — Wróbel domowy. F r i g i l l a d o m e s t i c a (Lineusz). 16ka (78 str.). Kraków 1868 . . . . . — „ 54 „

Z ubiegłych dni. Poezje *** 8wo (145 str). Lipsk i Poznań 1868 1 „ 25 „

Kinkel, Gottfried. Polens Auferstehung die Stärke Deutschlands. 8wo (49 str.). Wien 1868 . . 1 „ 35 „

Politische Briefe über Russland und Polen, oder wenn man will: Die polnishe Frage. Von einem Polen. I. Serie. (Brief I. bis VIII.). 8wo (110 str.). Lemberg 1868 . . . . . 1 „ — „

Rozmaitości.

* Pollak w Sanoku drukuje, znanego autora J. Gordona, „Obrazy galicyjskie.“ Rzecz wnosząc z tytułu, mocno interesująca.

* Ksiądz Malinowski w Poznańskim, jeden z badaczów języka ojczystego, zaprasza do przedpłaty na swoją „Krytyczną gramatykę języka polskiego.“ Cena 7 zł. na lepszym, 6 zł. na gorszym papierze.

† W Szczawnicy umarł dnia 21. sierpnia młody a pełen nadziei artysta dramatyczny Z w i e r z y ń s k i. Był członkiem znanego Towarzystwa dramatycznego pod kierownictwem p. M. Sztengla.

* Księgarz M i e c z y s ł a w L e i t g e b e r w Poznaniu zamierza wydawać pismo ilustrowane polskie, w zamiarze wyrugowania z domów polskich „Gartenlaube“ i inne czasopisma niemieckie. Zacna chęć! Oby tylko do skutku przyprowadzoną została.

* Jak z wieloma rzeczami u nas — tak się rzecz ma z k o n k u r s e m t e a t r a l n y m, o którym zapomniano... Wielu autorów wycofało swe rękopisy.

* P. M o d r z e j e w s k a wyjechała na występy do Warszawy. — Zapewne nie łatwo będzie tej artystce, grą swoją dorównać pp. Rakiewiczowej, Palińskiej i innym artystkom sceny Warszawskiej.

* P. R a p a c k i zamierza przybyć do Lwowa na występy gościnne, a nawet angażować się. Będzie to cenny nabytek dla naszej sceny, chociaż przesadnemi co do talentu artysty, są zdania krytyków krakowskich.

* O p. L e c h u N o w a k o w s k i m pisma czeskie mówią jako o drugim Dawisonie, żałując że słowianin wzbogaca sobą scenę niemiecką, już i tak bogatą... Lecz cóż począć gdy u siebie mamy takich dyrektorów, jakim jest p. Miłaszewski!... Czyliż mu szkodzi ustąpienie ze sceny pana Nowakowskiego, pani Nowakowskiej?... *Pensjonarki, Załogę okrętu* można mieć i bez tych artystów, a o lepsze rzeczy nie troszczy się dyrektor!

* W Wenecji jest pięć teatrów. Teatr Fenice zbudowany na 2000, Benedetto na 1300, Apollo na 1250, Malibran na 2500 i San Samuele na 2350 osób.

* Zabudowanie parlamentu angielskiego, na które wyłożono już 8 milionów złr., ma być na nowo przerobione, a kosztorys nowego przebudowania wynosi 1,200.000 złr. Jako powód ciągłego jeszcze przerabiania, podają niedogodności, znachodzące się w dotychczasowej sali sejmowej. Jaką by się też wydała Anglikom sala sejmowa królestwa Galicji i Lodomerji?

* Wyobrażenie szczepów zachodniej Afryki o przeznaczeniu ludów Pan Bóg świat stworzywszy, stworzył następnie człowieka, t. j. parę ludzi czarną i parę rasy białej. Uczyniwszy to spuścił z nieba na długim łańcuchu dwa koszyki: mały i duży. Oba kosze zamknięte były. Naonczas rzekł Bóg do obu par, ażeby w zgodzie każda z nich wzięła sobie po koszyku. Wtedy para czarna pochwyciła chciwie koszyk wielki, pozostawiając mały parze białej. Człowiek czarny otworzywszy kosz, znalazł w nim motykę, bawełnę na oprzędy, sieć, ażeby nią łowić ryby, łuk i strzały, ażeby polował i t. p. Mocno uradował się człowiek czarny temi darami, spostrzegłszy zwłaszcza, że biały znalazł w koszu tylko książkę. Ale człowiek biały rozczytywał się pilnie w książce i tak zmądrzał, że wkrótce lepszym był rolnikiem, rybakiem, myśliwym i kupcem, a nawet o wiele bogatszym od czarnego. To obudziło zazdrość w człowieku czarnym, a biały nie miał spokoju i nie mógł z czarnym dłużej wytrzymać. Otóż wtedy ulitował się Bóg i spuścił białemu długi powróz z nieba, i za pomocą tego przeniósł parę białą do Europy, do ziemi odległej od czarnych.

T R E Ś Ć:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.